

eleWator

kwartalnik literacko-kulturalny
nr 30 (4/2019) – październik/grudzień 2019

ISSN 2299-5692

copyright © eleWator, Szczecin 2019

redagują:

Marcin Bałczewski (komiks), Andrzej Fogtt (sztuki plastyczne),
Paweł Nowakowski (proza), Damian Romaniak (film, redaktor naczelny),
Karol Samsel (eseje i szkice), Kamil Sipowicz (muzyka),
Leszek Szaruga (krytyka literacka, zastępca redaktora naczelnego),
Miłosz Waligórski (poezja)

stali współpracownicy:

Edward Balcerzan (Poznań), Łeś Belej (Kijów),
Izabela Fietkiewicz-Paszek (Kalisz), Anna Frajlich (Nowy Jork),
Artur Daniel Liskowacki (Szczecin), Beata Patrycja Klary (Gorzów Wielkopolski),
Dariusz Muszer (Hanower), Małgorzata Południak (Dublin),
Andrzej Turczyński (Koszalin), Andrzej Wasilewski (Paryż)

redakcja techniczna: Iwona Kępisty

korekta: Anna Borowicka i Anna Nowakowska

grafiki na okładce: Rafał Babczyński

zdjęcia w numerze: Janusz Drzewucki, Indi Orlando

zdjęcie na 208 stronie: Cezary Dubiel

redakcja i wydawca: Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy

adres do korespondencji:

71-141 Szczecin, ul. Łukasińskiego 38C, skrytka pocztowa nr 39

siedziba: 71-467 Szczecin, ul. Mariana Rapackiego 2

www.elewator.org / www.fundacja-berezy.org

biuro@fundacja-berezy.org

Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów, skracania
oraz redagowania tekstów, o ile nie wypacza to sensu oryginału.

druk: KAdruk, Szczecin

publikacja współfinansowana ze środków Miasta Szczecin
oraz Stowarzyszenia Gmin Polskich Euroregionu Pomerania
dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



intro	5	Michał Fałtynowicz, Prośba
świętość	6	Świętość – ankieta. Pyta Maciej Libich. Odpowiadają: Tomasz Bąk, Maciej Bobula, Tomasz Dalasiński, Julia Fiedorczuk, Rafał Gawin, Urszula Honek, Adam Kaczanowski, Małgorzata Lebda, Filip Matwiejczuk, Anna Matysiak, Maciej Robert, Karol Samsel, Andrzej Szpindler, Szymon Szwarc, Miłosz Waligórski
	18	Grzegorz Strumyk, Człowiek, który miał swoje powody, by odpocząć
	22	ks. Paweł A. Florenski, Rzeczywistość uświęcona (przeł. Andrzej Turczyński) / Andrzej Turczyński, Nota
	36	Kazimierz Brakoniecki, Święty, ale niekoniecznie poświęcony
	41	Małgorzata Wadżet Gardasiewicz, Świętość Wszechświata
	45	Maciej Libich, Człowiek jako świętość. Wokół Domu, który zbudował Jack Larsa von Triera
	50	Joanna Galecka, O trzech świętych malarzach
	56	Marta Zelwan, Światło
	58	Paweł Rzewuski, Sarmacka świętość
	62	Piotr Matywiecki, Noc, Hymn Jest.
	68	Izabela Pajdała, Święta gra w durnia
	72	Karol Samsel, Wypowiedzenie posłuszeństwa. Nieświęte gry literackiej teraźniejszości (z) Juliuszem Słowackim
	78	Natalia Szerszeń, Złote znamię. Świętość Słowackiego genezyjskiego
	85	Damian Romaniak, Święty Jan od Krzyża i ciemna noc duszy
	93	Indi Orlando, Ścieżka Serca
	102	Daria Chibner, Przekleństwo świętości
poezja	112	Hryhorij Czubaj, Lato, Świat, Słyszać, Opowiadacz legend, Wielkanoc, Lamentacje Jeremiasza, Kobieta (przeł. Maciej Piotrowski)
	114	Szymon Florczyk, zatarty szkic, impresje letnie, niebo, ekfrazy, najpiękniejsza
	116	Rafał Kasprzyk, Granica poznania, Psalm czekania, Ratunek, Retrospekcja
proza	118	Norbert Pilarz, Styczeń
	125	Jakub Kurzyński, Bal snobów
kartoteka	128	Wywiad poniemiecki. Artur Becker rozmawia z Dariuszem Muszerem
	139	Anna Łozowska-Patynowska, Wojna polsko-niemiecka pod wspólną flagą
	142	Dariusz Muszer, Poeta w koronie drzewa, Dziewczyna poety za żywopłotem, Dwa życia Barbary
z Poznania	146	Jerzy Beniamin Zimny, Kamikadze i Dezerterzy
z Ciężkowic	149	Waldemar Bawolek, Święci Leonie i Grzegorzu, zmiłujcie się nade mną
sztuki plastyczne	150	bez tytułu. Z Elą Blanką, rzeźbiarką i malarką, córką Anny Paszkiewicz, rozmawia Damian Romaniak

krytyka literacka	158	Katarzyna Michalewska, Jest światło (Anna Tlalka, <i>odsłanianie światła</i>)
	159	Jarosław Błahy, Hospicjum literackie (Grzegorz Uzdański, <i>Zaraz będzie po wszystkim</i> , Katarina Lavmel, <i>Anturaż/Entourage</i>)
	162	Leszek Szaruga, Pro / za i przeciw. 23 (Leszek Engelking, <i>Szwejkowie i Don Kichoci</i> ; Zsolt Berta, <i>Chłopcy z placu Moskwy</i> ; Aleksander Solżenicyn, <i>Pruskie noce</i>)
	166	Paweł Kuszczynski, Nie tylko rzeczywistość (Elżbieta Stankiewicz-Daleszyńska, <i>Pani Egucka i trójkąt metareczywisty</i>)
	168	Anna Łozowska-Patynowska, Animal rationale w oddechu śmierci (Paweł Przywara, <i>Ricochette</i>)
	171	Paweł Majcherczyk, Oniryczna autobiografia (Eliza Kącka, <i>po drugiej stronie siebie</i>)
	172	Michał Trusewicz, Podkręć jak Deyna (Krzysztof Bielecki, <i>Nóż</i>)
	178	Paweł Jasnowski, Jestem synem wstydu (Didier Eribon, <i>Powrót do Reims</i>)
	182	Anna Pietras, Dialog w roli głównej (Małgorzata Miławska-Ratajczak, <i>Dialog w roli głównej. Polszczyzna we współczesnym kinie na przykładzie wybranych autorów</i>)
	184	Konrad Liskowacki, Bardzo dobre połączenie (Rafał Dajbor, <i>Jak u Barei, czyli kto to powiedział</i>)
	187	Katarzyna Biela, Odlot, czyli naród w kabinie samolotu (Zenon Fajfer, <i>Odlot</i>)
komiks	190	Jarosław Kozłowski, Z bibliotecznej teki. 17
muzyka	191	Radek Bruch, Pragnienie czegoś nowego (The Raconteurs, <i>Help Us Stranger</i>)
	192	Adam Mańkowski, Rytuały, które można zasiać (Rites of Fall, <i>Towards the Blackest Skies</i>)
	193	nadesłano
stałe felietony	194	„poniewczasie” – Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, Ostrowski Stanisław M., Obertyńska Beata, Putrament Jerzy, Zagórski Wacław, Senski Roman
	196	„dlaczego nie jestem malarzem” – Małgorzata Południak, Zadawanie się z ludźmi
	198	„esoesy” – ADL, Dziewiętnaste
	200	„poza mainstreamem” – Izabela Fietkiewicz-Paszek, Spisane w koszarach. O poezji Macieja Filipka
	202	„bez przesady” – Edward Balcerzan, Odbiorca torturowany
patronaty ‘eleWatora’ – Gorajec 2019	204	Petro Jacenko, Безрозмірна валіза / Walizka bez dna (przeł. Marcin Gaczkowski)



Rotunda św.
Prokopa, Strzelno,
foto. Janusz
Drzewucki

Michał Fałtynowicz

Prośba

Na pierwszym roku studiów (ile ja mogłem mieć lat
dziewiętnaście) siedziałem w pokoiku na ósmym piętrze.
Była noc, biurko brązowe i stabilne, z mocnego drewna,
na blacie moje ręce jakby obce, złożone w modlitwie
do białej ściany.

Zadzwoniłem do ojca i zapytałem: czy mogę przeczytać
tobie wiersz?

wcześniej nie czytałem nikomu swoich wierszy
miałem dziewiętnaście lat
piłem za dużo wódki
zdawało mi się, że wiem
i rozumiem

Zadzwoniłem do ojca.
Zapewne tego nie pamięta,
przecież jakałem się, czytałem w przejęciu.
Biurko wciąż było takie samo, nieruchoma podłoga i dźwięki nocy
za oknem, kłęby kominów, gęby sennych budynków.

Czytałem wiersz – dość długi,
z krwią.
Nie rozmawia się o przeczytanych przed chwilą wierszach,
one rozbrzmiewają – to tyle
i aż tyle.

Kilka lat później czytałem swoje wiersze w Radiu Gdańsk.
Myślałem o tamtym telefonie.

od czterech ścian odbija się mój głos
wpada do słuchawki i wypada do ucha rozmówcy

Poprosiłem ojca, żeby posłuchał, gdy czytam
wiersz.

Świętość – ankieta

Pyta Maciej Libich. Odpowiadają: Tomasz Bąk, Maciej Bobula, Tomasz Dalasiński, Julia Fiedorczuk, Rafał Gawin, Urszula Honek, Adam Kaczanowski, Małgorzata Lebda, Filip Matwiejczuk, Anna Matysiak, Maciej Robert, Karol Samsel, Andrzej Szpindler, Szymon Szwarc, Miłosz Waligórski

1. Czym jest dla ciebie świętość? Jak ją rozumiesz?
2. Czy szukasz świętości w swojej poezji? Próbujesz ją nazwać, opisać, zbadać? Jeśli nie / jeśli tak – dlaczego?
3. Czy pisanie jest świętością? Jeśli nie / jeśli tak – dlaczego?
4. Czy we współczesnej poezji (i we współczesnej literaturze) jest miejsce na świętość? Dlaczego tak / dlaczego nie? Gdzie i u kogo jej szukać? Czy należy?

Julia Fiedorczuk

1. Potrzebuję dokonać uściślenia terminologicznego. Co mamy na myśli, gdy określamy kogoś lub coś jako „święte”? W tradycji judeochrześcijańskiej świętość wiąże się z oddzieleniem. Hebrajskie słowo *qadosh* odnosi się do szczególnego przeznaczenia jakiejś rzeczy, osoby, czasu. W ujęciu chrześcijańskim święty jest ten, kto żyje „w świetle” ale nie „dla świata”. Świętość to wyjątek, odstępstwo od zwykłego, przyziemnego, „podśłonecznego” – to Kohelet – życia.

Z kolei w buddyzmie – mówię o buddyzmie zen, bo tylko o tym mam jakieś pojęcie – nie ma nic świętego – ani nieświętego. Droga do absolutu prowadzi przez bramę codziennych zmagania, bo w buddyjskim rozumieniu świata jedyne, co nie podlega zmianie, to sama zmienność. Ujmując rzecz folklorystycznie, „wszystko ma naturę Buddy”, co zarazem oznacza, że nie ma żadnego „Buddy” rozumianego jako oddzielny, wyjątkowy byt. Mimo to przez większość czasu błądzimy jak przerażone dzieci we mgle: „beings in the dream, trapped in its disappearance”, jak pisał Allen Ginsberg w poświęconym swojej zmarłej matce wierszu *Kadish*. Stąd konieczność drogi – i „przebudzenia”.

Obcując z tekstami obydwu tradycji (mam na myśli poezję Biblii hebrajskiej, ale też fragmenty ewangelii, a z drugiej strony – na przykład pisma Dōgena), można zauważyć interesujące zbieżności, a przynajmniej – korespondencje. Od pewnego czasu całe moje myślenie i pisanie rozgrywa się na styku tych dwóch tradycji, rozumianych na sposób areligijny, całkowicie antydogmatyczny. Na twoje pytanie mogę zatem odpowiedzieć dwojako. Czym jest dla mnie świętość? 1. Nic świętego nie istnieje. 2. Co robisz w tej chwili?

2. Nazwać – nie. Szukać – tak. Znów, nie chodzi o szukanie czegoś wyjątkowego, tylko o próbę wydobywania „ziaren świętości” – że tak to nieco topornie ujmę – ukrytych w każdej, nawet najbardziej „sprofanowanej” chwili życia podśłonecznych Istot. Chciałabym to umieć zatańczyć, zaśpiewać.

3. Pisanie absolutnie nie jest świętością, choć w moim przypadku bywa spokrewnione z praktykowaniem jakiejś ekscentrycznej reguły monastycznej. Czasem potrzebuję całkowitego odosobnienia i rytuałów, w innych momentach dobrze mi się myśli/pisze pośród rozmaitych życiowych rozproszeń. Myślę, że nie ma reguły.

4. Raz jeszcze podkreślę, że pojęcie, którym tu operujemy, bynajmniej nie jest jednoznaczne. Jeśli chodzi o tę nieświętą świętość, niebędącą niczym wyjątkowym, a jednak domagającą się jakiejś praktyki – tę, której poszukiwał wspomniany Ginsberg – to sędzę, że wyznacza ona jeden z ważnych kierunków współczesnej poezji, zwłaszcza tej, która wysuwa na pierwszy plan to, co więcej-niż-ludzkie. Tak dzieje się na przykład u Forresta Gandera, przyglądającego się ludzkiemu doświadczeniu w kontekście głębokiego czasu ziemi (Gander jest z wykształcenia geologiem). Urszula Zajackowska, botaniczka, opisując pracę w laboratorium, raz po raz konfrontuje się z życiem w sposób, który ją z samej siebie wyrzuca, zmniejszając kontury ego. Dla Gary’ego Snydera „święty” jest łańcuch pokarmowy, fakt, że zjadamy inne ciała i zostaniemy przez nie zjedzeni. Ilona Witkowska, opowiadająca się po stronie empatii, dotyka mroku rozumianego u niej często jako wytechnienie od światła. Cała poezja Radka Kobierskiego rozgrywa się na granicy ego, dokumentując kruchość ja, jego podatność na zranienie – ale też na jakiś rodzaj obdarowania.

Tomasz Dalasiński

1. Nigdy do końca nie zrozumiałem zjawiska „świętości”, choć nieraz usiłowałem. Świętość jest dla mnie czystą ambiwalencją: synonimem doskonałości i jednoznaczniakiem dążenia do niej; czystością tzw. nieba i brudem tzw. ziemi (na której „przebyt”, by posłużyć się tym pięknym staropolskim słowem, jest warunkiem *sine qua non* osiągnięcia świętości); obietnicą, wyzwaniem i szantażem jednocześnie.

2. Kiedyś, dawno, dawno temu, uważałem, że każdy wiersz, nie tylko świetny, jest w jakimś sensie święty. Dziś uważam podobnie.

3. Tak, pisanie jest świętością – w tym sensie, że jeśli świętość jest doskonałością (i dążeniem do doskonałości), to pisanie z natury rzeczy musi być „święte”. I być może wcale nie chodzi o to, aby nad głową pojawiła nam się aureola, lecz o to, aby gonić świętego króliczka.

4. Oczywiście. Ślady świętości można zobaczyć wszędzie: to, co oglądane, w największej mierze zależy przecież od patrzącego.

Małgorzata Lebda

1. Gdyby zadano mi to pytanie dziesięć lat temu, odpowiedziałabym inaczej niż teraz. Zatem rozumienie świętości jest wynikiem ciągłego namysłu. A teraz? Świętość to dla mnie na przykład słowa – czyste, precyzyjne – jak te: „alfabety istnieją // deszcz alfabetów // nieustający deszcz // łaska światło // kształt gwiazd kamieni / odstępy między nimi // bieg rzek / i poruszenia duszy // ślady zwierząt / ich szlaki i ścieżki // budowanie gniazd / pocieszanie ludzi // światło dnia w powietrzu / ślady mysołowa (...)”. To fragment z poematu *Alfabet* Inger Christensen w cudownym tłumaczeniu Bogusławy Sochańskiej. Świętość to dla mnie również bycie bardzo fizycznie w przyrodzie, świętość to czystość myśli, jaka wtedy się pojawia, jak w czasie ponadstukilometrowego ultramaratońskiego biegu, który zaczynasz przed północą, a świt zastaje cię wysoko w górach; to są momenty, w których powraca się do wiary w Boga, to są momenty, w których trudno powstrzymać wzruszenie. Krystalicznie czyste. Jasne.

2. Rozliczam się ze świętością, ze świętością rozumianą bardzo dosłownie, a wpływającą z religijności, z dorastania w domu, w którym katolickie obrzędy były ważne. Z religijności wsi, która była celebracją, barwnym spektaklem, atrapą. Po latach widzę, że religijność małej beskidzkiej wsi, w której dorastałam, była opresyjna. W pisaniu mówię o tej opresyjności, bo ona we mnie jeszcze pracuje.

3. Jeśli rozumieć świętość jako coś, co zmienia świat, i ta zmiana jest dobrem, to tak. Pisanie jest świętością. Bliskie są mi słowa Susan Sontag, która w eseju o Rolandzie Barcie pisze: „Pisanie jest obejmowaniem, byciem obejmowanym; każda idea jest ideą, która wychodzi ku światu”. Świętość jako miłość, jako dzielenie się, jako słowo skierowane do drugiego człowieka.

4. Lubię, kiedy w literaturze świętość, *sacrum*, współpracuje z *profanum*. Żeby przywołać tylko teksty z książek, które leżą w tej chwili na moim biurku – jest taki wiersz Menno Wigmana (w tłumaczeniu Barbary Kallach i Adama Wiedemanna) *Pokój 421*: „Moja matka się psuje. Ma swój kąt, / prawie że trumnę, gdzie obszczywa krzesło / i odsiaduje ciągle ten sam dzień. Ma widok / na drzewa, na ptaki w tych drzewach, / a żaden ptak nie ma pojęcia, kto go spłodził (...)”. *Sacrum i profanum!* Albo to, z Michaela Ondaatje (w tłumaczeniu Agaty Hołobut) (*): „Całuję brzuch / całuję twoją pokrytą bliznami / łódkę skóry. Płynęłaś / z nurtem historii / i ją weźmiesz ze sobą // Brzuch każdego z nas / całowały usta / obce drugiej osobie // co do mnie / błogosławię każdemu / kto ucałował cię właśnie tutaj”. W takich momentach lektury wierzy się w coś więcej.

Maciej Bobula

1. Świętością jest dla mnie przebywanie wśród ludzi, których kocham, dobro, które mogę im dać, wolny czas, który mogę im poświęcić. Świętością są piękne miejsca, do których mogę ich zabrać – przeważnie na łonie natury, bo natura też jest dla mnie świętością. Świętość istnieje dla mnie bez Boga, jest krucha i ulotna, i jak wszystko, czego doświadczamy, zniknie jak lzy w deszczu. Jest krótką radością z bycia, mgnieniem piękna w oceanie brzydoty, strużką światła w ciemności, odrobiną dobra w ogromie zła.

2. Nie – wszelkie próby opisanie świętości w powyższym rozumieniu skazane byłyby na banał. Język nie ogarnia świętości.

3. Nie jest. W każdym razie nie moje pisanie. Mógłbym żyć bez pisania (robiłem to przecież tyle lat) i byłbym wciąż tym, kim jestem. Gdybym zaś miał pozbawić się przebywania z bliskimi albo na łonie natury, nie chciałoby mi się żyć.

4. Pewnie u Rudolfa Otto (choć on średnio współczesny). Dla mnie świętość to nie *mysterium tremendum* i *mysterium fascinans*, jestem chyba bardziej przyziemny w tej kwestii. We współczesnym filmie i muzyce jest moim zdaniem dużo miejsca na świętość, na przykład u Mike’a Leigha i Kena Loacha. U nich jest ta świętość, o której wspomniałem przy okazji pierwszego pytania. W filmach, takich jak *Wszystko albo nic*, *Ja*, *Daniel Blake* jest – moim zdaniem – dużo świętości. Są tam piękne ludzkie postawy, bycie razem na dobre i na złe, solidarność, poświęcenie (o, słowo poświęcenie jest dla mnie najlepszym nośnikiem świętości, fakt, że ktoś się dla kogoś poświęca, jest dla mnie święty), odrobina dobra w ogromie zła.

Andrzej Szpindler

1. – że będzie, a jak już będzie, to to, że będzie, będzie dla niej tylko kolejną formą, tłumem? wiotkością? nie starczy istnień dla jej zjaw;

– jako rozdziawienie, patrzenie od zewnątrz nocy [*szanujemy, czy nie szanujemy, / jaka jest noc od zewnątrz, mdła?*];

– najmniej spodziewane herezje na miękko i ich gospodarowanie w krynicach łączliwości \ dostawczakach z trasą w przezieraniu *haecceitas* do siebie wzajem;

– jako: *a ile moich czynów by nie było, nie poznacie ich, najwyżej wiotkość swoją sobie podreperujecie*;

– jako grozę, która owocnie spoliczkuje rasizm.

2. – szukam świętości w poezji Obcych;
– próbuję ją nazwać poezją Obcych [HCE].
3. – jeśli na przykład wiatr nadciągnie kamazem, a wtedy ghul w tuk-tuku nadusi gruszkę od trąbki i, koncentrując wiązkę na swojej wizerunkowej psychoracji, rozpaćka się na turkusowym *joj*, piśniętym przez nieco przegiętego [patrzcie państwo! u niego ekstaza = zamknięta w uszy Hamana] boga wszystkich kamazów, wtedy tak;
– więc: gdzie HCE [*Here Comes Everybody*], wtedy tak;
– dlaczego? bo zamiast: co pomyśli o nas bóg, co powiedzą wszyscy sobie.
4. – jest miejsce, jest Ibn Arabi;
– chyba nie szukać, ma miejsce coś takiego, co się nazywa *misterium ewidencji*, rodzaj kolektury makumby, która wygląda jak nie powiem co [*misterium ewidencji?*];
– jeżeli lustro zasłania się kirem, aby widmo zmarłego nie opuszczało nas, to... *Here Comes Everybody!*... zasłonięte oblicze pozwala narcyzowi rozpuścić się w przywidzeniu?, że dwudzielnosc aktu [*wy nie patrzycie wcale nigdy, bo ja myślę*] *uwaga! myślę*, obopólne ssanie kitu, rozszczelnianie twarzy = absolut prawicowego okazjonalizmu, że już naprawdę wszyscy są prawicowi i ekologiczni gangsta.

Maciej Robert

4. Jest

to świętość ogołocona, sama istota
rzeczy, arcy- i ponadludzka.
Abstrakcja, bezbożność, miąsz.
Samo mięso – i krew.
Bez bałwochwalstwa i innych cudów.
Żadnego halo – nie dziś.
A więc nie świętość – święto.

Święto to nieporządek.
Święto to możliwość, terror możliwości.
Nuda, nagła podniosłość nudy.
Święto nieistotne,
wyczerpujący marsz.
Święto – czekanie na krzyk.
Święto to nagła wolność,
ten pluszowy kaganiec.
Święto to krochmal i karmel,
a nawet diadem i dym.
Święto to błąd w systemie.
Albo system błędów.

Podstaw tam poezję –
rachunek będzie się zgadzał.
Podstaw co innego, nie podstawiaj nic.
Poezja to świeckie święto,
noc po nocy, dzień w dzień.

Rafał Gawin

1. Świętość to taka niewiadoma, którą warto sobie zdefiniować, by potem, jak praktycznie każdą zasadę, odrzucić. Wiersz w tym porządku stanowi naukę chodze-

nia we własnym świecie, który rozpada się w oczach czytelnika z zewnątrz, by odrzec go ze złudzeń, otrzeć o jakąś prawdę, która – niczym gwiazda z odległej galaktyki – nie istnieje już chwilę przed jej zauważeniem na jakimś niebie, czyli – znowu – w zbiorze otwartym, prawdopodobnie bezgranicznie. Świętość to *profanum* takiej rozległej przestrzeni pełnej zaprzeczeń boga. Każdy konkretny daje definicję bardzo fragmentaryczną, punktową: połączenie punktów prowadzi do odkrycia demona. A jeśli demon to po prostu inni, wystarczy zmienić perspektywę, zapatrzeć się w nieskończenie czyste lustro. Dlatego świętość to również sanktuarium – miejsce ciszy i skupienia. Wstęp do świętości mają tylko konsekrowani. Nie wychodząc poza bardzo prywatne rytuały, biografizm, ledwie zasłaniający strategiczne części umysłu i ciała, udający powszechnie skrojony dramat jednostki w tłumie i tłumy w jednostce. Świętość to najmniejszy z prywatnych, bardzo intymnych traktatów. Nie wybrzmi wprost, jeżeli został skomponowany wiernie ze wzorcem: pustką po prawej, a może i po lewej stronie, byle nie po obu równocześnie: nie jest godną uwagi świętością fetyszyzacja formy w kształcie choinki i innych drzew oraz krzewów ozdobnych. Świętość wynika z istoty, choć nie należy jej pochopnie utożsamiać z duchem, zwłaszcza na miarę czasów coraz bardziej zaprzyszłych; świętość jest tej istoty cieniem, który udaje światło, przyczajone, gotowe do skoku w blask, którego nie zawaham się użyć, gdyż go mam; to cząstka wspólnego początku świata, tkwiąca w życiu jako takim, biologicznym i metafizycznym. Świętość, wreszcie, to gest, jałmużna dla zwolenników dobrej woli i dobrej zmiany; symetryczny punkt widzenia hołdów, bohaterów i podmiotów w czasie, niekoniecznie (znowu) rozumianym linearnie, tylko jako czwarty, niewidoczny, ale bardzo wpływowy wymiar.

Gdy patrzę na otoczenie, najbliższych i dalszych, jestem ciężko zdrowy. Opalam się w ich cieniu. I widzę, jak widać, że nawet pisanie o świętości nosi w sobie kicz on de bicz.

2. Niczego nie szukam, jak podkreślałem w otwieraczu *Zachodu słońca w Kurwidolach* i w opisach na portalach randkowo-erotycznych: na nic się nie nastawiam, niczego nie wykluczam. W tych dwóch zdaniach zawiera się moje poetyckie sanktuarium. I nie użyję tutaj bardziej jednoznacznych nazw (co nie znaczy, że nie będę przez nie używany): ars poetica, credo czy projekt. Nawet gdy w literaturze myślę koncepcyjnie (a zdarza mi się to coraz częściej), to niczego nie projektuję, a daję się pomysłowi – i spontanicznie, i metodycznie (gdy poezja to nauka wewnętrznych i wewnątrztekstowych sprzeczności) – wyszaleć. I to właśnie jest świętość: wolność frazy, wolność skojarzeń, wolność wyboru środka wyrazu lub braku wyrazu. I, ponad wszystko, zgoda i akceptacja błędu – świadomego, nieświadomego, a nawet wynikającego z jakiejś niewiedzy, swoistej kopalni świętości, bo i przecież tajemnicy. I tutaj zbaczamy w stronę odkryć poza polem tekstowym, ale na to pole w sposób kluczowy wpływających.

A tak w skrócie i jednak poważnie: nie chcę, by jakakolwiek świętość mnie ograniczała, zmuszała do kultu, regularnej masturbacji przed obrazem, metaforą, jakimś podniecającym połączeniem dwóch lub kilku wyrazów. To jest zdrowe wyłączenie w relacji z szeroko rozumianym człowiekiem, nie wytworami jego jaźni, słabości, kompleksów i popędów.

3. Nie jest. Na szczęście. Dla bogów i ich braków. Jeżeli jakaś czynność miałaby się zbliżyć do świętości, byłoby to czytanie. Ale wyłącznie ze zrozumieniem. Dlaczego? Ponieważ kluczowe jest odbieranie komunikatów, nie ich wysyłanie. Zwłaszcza gdy chodzi o komunikaty kilkukrotnie zaszyfrowane, niepełne, a nawet – a może przede wszystkim – puste. I tego nam brakuje najbardziej: właściwego, zdrowego, orzeźwiającego i otrzewiającego odczytywania milczenia, ciszy i jej pochodnych:

medytacji, koncentracji, trwania w rodzaju mentalnej symbiozy ze sobą i wszystkimi swoimi „ja” (ducha tutaj nie użyję, ponieważ nie pasuje do żadnej mojej koncepcji człowieka jako ciała i umysłu poza fałszem metafizyki).

Czy muszę to uzasadniać bardziej dosadnie? Świętość wiąże się z jakąś nierealną potencjalnością; pisanie to czynność stricte fizyczna. Nawet w polu znaczeń pojawiają się, wynikające z realnego i empirycznie doświadczanego świata, ograniczenia. Świętość to zbiór dwuelementowy: $[0, 1]$. Pisanie to przedział od $0,00000(\dots)1$ do $0,99999(\dots)9$.

4. We współczesnej poezji polskiej jest miejsce na (prawie) wszystko. Oprócz asekuracji i lawirantwa. Skoro wiersz może być zaangażowany w jedzenie sałaty albo wymachiwanie czerwoną flagą, tudzież szmatą, to czemu nie wyposażyc go w świętość? Deus ex machina, deus ex cathedra. Przecież to także rodzaj interwencji – społecznej, gospodarczej, politycznej, psychicznej, antropologicznej i metafizycznej: uświęcić, namaścić, wywyższyć, choćby i siebie.

Nie mam mistrzów w tej dziedzinie. I chyba w żadnej. Zresztą nazywanie kogoś mistrzem jest samo w sobie nadawaniem świętości. Patos, koturny i tren zbyt długi, dlatego się o niego potykam, uciekając przed transgenderowym bóstwem. A czy zasłużyli na to najbardziej nośni, choć świętości jako takiej obli, chropowaci i zgryźliwi: Wojciech Bonowicz, Marcin Świetlicki? Czy pasuje tu kosmiczny Grzegorz Wróblewski albo coraz silniej interweniujący (meta)politycznie, zwłaszcza w świętość (nie)pamięci, Darek Foks? Zresztą wybór wierszy autora *Schizmy*, dokonany przez autora *Ech*, aż się prosi o inny niż „religijne” epitet w tytule. I niech nas nie zwiedzie prosta składnia i potoczne punkty odniesienia.

Reasumując: szukajcie, a jeszcze bardziej się zgubicie. I na tym to powinno polegać. I to jedyne zdanie na temat poezji, w którym powinno ma swoje uzasadnione miejsce.

Anna Matysiak

1. Świętość to dla mnie przede wszystkim kategoria antropologiczna – rozumiem ją między innymi za Rudolfem Otto i Eliadem – pozwalająca analizować ludzkie działania, religię i kulturę oraz ich wytwory. Wiąże się z innymi kategoriami łączonymi z kontaktem z transcendencją, jak *numinosum* (nieraz ze świętością utożsamiane) albo *tremendum*... To wszystko są ważne narzędzia do badania człowieka jako gatunku. Są wpisane w strukturę naszego mózgu –> naszego myślenia –> naszej wyobraźni, niezależnie od tego, czy uznajemy się za religijnych, czy nie. Mniej czy bardziej jawnie organizują naszą wyobraźnię. Generują się gdzieś obok struktur odpowiadających za poszukiwanie sensu w otaczającym nas świecie i w nas samych. W moich badaniach i poszukiwaniach używam tych kategorii jako narzędzi.

Obok tego pojęcie świętości ma znaczenie potoczne; mówimy, że coś jest dla kogoś świętością albo że dla kogoś nie ma nic świętego. To coś otaczanego największym szacunkiem. To coś, czego wartości nie da się podważyć żadnymi argumentami. Nie wiem, czy istnieje dla mnie taka świętość, choć pewnie są rzeczy dla których gotowa byłabym wiele poświęcić. Lubię myśleć, że taką wartością jest wolność. Ale nie jestem tego pewna.

2. Na pewno intencjonalnie nie rozpoczynam takiego procesu. Najpierw, przez pomyłkę, odpowiedziałam na trzecie pytanie i teraz wydaje mi się, że w tej odpowiedzi częściowo jest zawarta również odpowiedź na pytanie drugie. A więc nie szukam, ale czasami może osiągam dzięki poezji stan poszukiwania; to są próby odkrywania czegoś, co może mnie dopiero zaskoczyć, niejako samo gdzieś ponieść moją

percepcję, to ma być takie „sprzęgnięcie”, spięcie. Nie wiem, czy da się to nazwać poszukiwaniem świętości, ale na pewno wynika to z potrzeby transgresji.

3. Pisanie jest dla mnie koniecznością, sposobem, w jaki ujmuję otaczającą mnie rzeczywistość – i siebie samą. Jest jakby częścią mnie. Tak było, odkąd pamiętam. Jest jednocześnie rodzajem wewnętrznej obietnicy, że dzięki niemu osiągnę kiedyś poczucie pełni, że połączę, na własny użytek i rachunek, pewne sprzeczne momenty: z jednej strony mnie, moje mechanizmy psychiczne, a z drugiej te systemy, które organizują zewnątrz... Że przez to na chwilę stanie się w mojej głowie jasność. Czasem, gdy wydaje mi się, że jestem przez moment blisko takiego czegoś, mam łzy w oczach. *Coincidentia oppositorum*? Czyli jednak, nie chcąc, weszłam – opisując to teraz – w zasięg tych antropologicznych koncepcji świętości. Ale tu chodzi o mechanizmy, o system, treść jest drugorzędna. Chodzi o uaktywnianie się tych całkiem pierwotnych doznań. Schodzę z drzewa albo wychodzę z jaskini, wytrzepuję błoto z włosów, uczę się rozpalać ogień.

4. Na to pytanie też trzeba by odpowiedzieć kilkutorowo. Więc po pierwsze (**jeden**), można badać literaturę, stosując pewien zestaw pojęć i narzędzi, i wtedy oczywiście każdy motyw, temat, jest w jakiś sposób godny analizowania. Szukałam w ten sposób w swojej pracy doktorskiej, bo pisałam o Ernście Wiechercie, Johannesie Bobrowskim i Erwinie Kruku, uprawiając analizę antropologiczną, o schematach inicjacyjnych w ich twórczości. Byłam wtedy mocno wciągnięta w ich obchodzenie się ze świętością, bardzo odmienne u każdego z nich. Ale jestem też w stanie wyobrazić sobie (**jeden i pół**), że czytając ich, można szukać doznań, pewnych emocji, dać im się wciągnąć tak mocno w ten świat przedstawiony, żeby uzyskać potwierdzenie własnych intuicji czy zaspokojenie emocjonalnych potrzeb. Może moje pierwsze czytania Wiecherta były bliskie takiemu nastawieniu, gdy byłam czternastoletnim dzieckiem i pochłaniałam jego powieść *Dzieci Jerominów*. Może właśnie dlatego potem go badałam, bo chciałam wiedzieć, dlaczego to tak działa.

Ale (**dwa**) można też szukać takich rozjaśnień, które dałoby się obrazowo opisać jako dołączenie do *coincidentia oppositorum* jeszcze jednego wektora – cudzego opisanie mechanizmów funkcjonowania świata, które bierzemy w siebie z poczuciem, że opada zasłona i widzimy nagle te tryby, koła zębate, łożyska, a kto wie, może i kotły, kosmiczne elektrownie. Tak miałam na przykład z poezją Grzegorza Wróblewskiego.

Ale nie wiem, czy należy szukać. To się samo dzieje albo nie. Nie mam też pewności, czy kategoria świętości pasuje do tego, co opisałam – może kręci się gdzieś w pobliżu tych działań i odczuć.

Tomasz Bąk

1. Świętość jest pierwotnym instynktem, naturalną potrzebą porządkowania świata, rodzajem kotwicy, która pozwala przetrwać na turbulentnych wodach codzienności. Oczywiście, pewnie dałoby się bez niej obejść, ale wydaje mi się, że zawierzenie się jakiejś świętości, lub odnalezienie się w niej, pełni cywilizacyjną rolę – ułatwia egzystencję, ni mniej, ni więcej.

2. Relatywnie rzadko zajmuję się tym, co dla mnie stanowi świętość, ale lubię podglądać innych w ich świętościowych praktykach, podpatrywać ich zachowania, zderzać ich pojęcie świętości z innymi możliwymi – wydaje mi się to bardziej interesujące. Myślę, że potrzebujemy wielu różnych spojrzeń na świętość, by rozwijać własny sposób postrzegania.

3. Zależy od podejścia do świętości – jeśli poszukujemy jej w codzienności (na przykład w codziennych rytuałach), a przy okazji traktujemy pisanie jako codzienną

praktykę – tak, w takiej sytuacji pisanie może być świętością. Tak samo gdy świętość i pisanie są dla nas czymś pełnym natchnienia i wyjątkowo odświętnym – ale to akurat wyświechtany przykład.

4. Im mniej „święty” poeta, tym więcej świętości na kartach jego wierszy – Wojacek, Bursa czy Góra to jedni z przenajświętszych poetów wyrosłych na tej ziemi. Więc jeśli należy szukać świętości, to szukałbym jej tam, gdzie pozornie byłoby o nią najtrudniej.

Adam Kaczanowski

1. Pierdem wypuszczonym przez umarlaka. Powinna już dawno zniknąć, ale ten swąd wciąż jeszcze się unosi w różnych miejscach i zatrzuwa atmosferę. Rozumiem świętość jako przekonanie, że są na świecie rzeczy, przed którymi wypadałoby klęknąć. Rzeczy, których nie można zakwestionować, wobec których trzeba siedzieć cicho. Nie zgadzam się z takim poglądem, jestem jego przeciwnikiem. Jestem wrogiem świętości. Nie jakimś zagorzałym wrogiem, wolę nie zwracać na nią uwagi, niż z nią walczyć i traktować na serio.

2. Nie szukam, natomiast interesuję się nią jako niepokojącym mnie zjawiskiem. W *Celach* występuje lewitujący człowiek z nabrzmiałym brzuchem, jest staruszka, przed którą nie chcą otworzyć się drzwi do supermarketu, pojawia się zdanie „wypadałoby klęknąć”. To świat zainfekowany tym pierdem świętości.

Podchodząc do tego pytania od innej strony – są tacy poeci, na przykład Andrzej Sosnowski, których pisanie mogłoby być dla mnie bliskie kategorii „świętości”, ze względu na istotność ich dzieł. Nawet jednak wtedy pilnuję, by nie stali się dla mnie świętymi. W *Szkielecie małpy* pojawiają się dzieła Andrzeja Sosnowskiego, którymi bohaterka broni się w walce z zombie. Zawsze musi pojawić się wątpliwość. Wątpliwość to moje paliwo, a nie żadne świętości.

3. To już jest najokropniejsze pytanie w tym zestawie. Są tacy pisarze, którzy odstawiają wokół czynności pisania taką szopkę, opowiadają, że muszą najpierw o piątej rano zapalić papierosa, potem o szesnastej wypić szklankę whisky i wtedy mogą o dwudziestej zasiąść przy swoim świętym biurku, w swoim ulubionym kapeluszu i niepranych od trzech lat kalesonach, i wtedy dopiero mogą zacząć pisać. To jest obrzydliwe, takie mitologizowanie.

Co to w ogóle za pomysł, żeby pisanie miało być świętością? Równie dobrze mogłaby być nią gra w ping-ponga. Nie da się, moim zdaniem, pisać na klęczkach przed własnym lub cudzym pisaniem.

4. Jeśli szukać, to tylko po to, by ją zniszczyć.

Miłosz Waligórski

1. Pamiętam. Miałem siedem lat i nie tyle chodziłem, co raczej uczęszczałem na katechezę do domu parafialnego przy kościele Świętego Józefa w Bydgoszczy. Prowadziłem wtedy taki zeszyt, do którego wpisywały mi się bliskie osoby. Za taką właśnie musiałem uznać katechetkę Radkę, prowadzącą lekcje religii, bo w tym pamiętniczku zachował się wierszyk od niej – znam go na pamięć. „Kochać Jezusa i żyć dla niego, czy jest na świecie coś piękniejszego”. Do dziś te rymy noszę w głowie i zastanawiam się „jest – czy nie jest?”. Za każdym razem odpowiedź jest inna, ale słowa katechetki Radki wyznaczyły mój horyzont świętości. Podejrzewam, że nigdy go nie dotknę.

2. Nie szukam. Dlaczego? Bo świętość, jak mi się zdaje, jest daleko od życia, jest punktem zero w kartezyjańskim układzie współrzędnych. Niech majaczy w tle,

niech będzie gwarantką trójwymiarowości (czy czterowymiarowości, kto wie) sztuki, lecz niech nie pcha się na pierwszy plan.

3. Ktoś kiedyś powiedział, że „poezja to jest święte gadanie”. W tej definicji najbardziej podoba mi się to, że te dwa słowa („święte” i „gadanie”) stoją obok siebie, przeglądają się w sobie, wzajemnie się kontrolują, hamują i temperują. Tak jest dobrze. Coś jest na rzeczy, ale wolę mówić, że pisanie – udane pisanie, jak pisanie idzie – jest lataniem. Normalnie latać nie umiem, a kiedy piszę, czasem się udaje.

4. Owszem. We współczesnej literaturze dużo widzę świętości – takiej w cudzysłowie i takiej bez cudzysłowu. Ludzie lękają *sacrum*, nie ma co się dziwić, mają potrzeby duchowe, tropią więc świętość albo sami generują ją na własne potrzeby. Myślę, że świętość-światło powinna migać gdzieś tam w perspektywie tunelu, ale – powtarzam się – za życia lepiej jej nie tykać, lepiej trzymać się od niej w przyzwoitej odległości. Niech czeka sobie na końcu. Niech potem się okaże.

Karol Samsel

1. Mam ogromne trudności już w samym ustalaniu wszelkich „prób myślenia” o tym, co święte. Jestem świadom, że identyfikuję obszar *sacrum* w sposób niezwykle ograniczony – poprzez modele etycznej doskonałości i teologię dogmatyczną. Poniekąd traktuję to pojęcie jako „wykradzione”, przy czym świadomość jego „kradzieży” wyparta została w kulturze w tak dalekim stopniu, że nikt nie widzi dalekiej drogi, jaką świętość przechodzi (z powrotem), aby ponownie opisywać przeklętych, banitów, „poronione płody” umysłowości – jurodiwych oraz szaleńców. W związku z tym zaś, że nikt owej drogi nie widzi, kategoria *sacrum* rzeczywiście ulega zwężeniu, ujednostajnieniu. W słowie „świętość” nikt, jak mi się egoistycznie wydaje, nie widzi „cudownie” „pracującego” homonimu sprzecznych jakości. Dlatego też i ja – w literaturze, którą uprawiam – szukam raczej jej hiponimów, a następnie antonimów, najrzadziej natomiast – „synonimizuję” na jej temat.

2. Nie szukam świętości w swojej poezji w sposób, który mógłby nasuwać jakiegokolwiek skojarzenia z poezją takich autorów, jak Krzysztof Kuczkowski albo Wojciech Kudyba. Ze sporym trudem – jak uważam – dałoby się czytać moje utwory za pomocą imaginacyjnych praktyk interpretacyjnych, takich jak egzegeza Bachelardowska. Z poezji Karola Wojtyły od lat poematem mi najbliższym jest *Kamieniółom*. Pisząc własny poemat *Autodafe*, dopiero w jego czwartej części zdecydowałem się wprowadzić bliskie mi wątki misteryjno-wielkanocne oraz temat Pięćdziesiątnicy. *Sacrum* w *Autodafe* łączę nie tylko z *ars*, lecz także z *techne* i pornografizującym *libido*. To najprawdopodobniej przesądziło o ostatecznym odczytywaniu całości utworu jako bluźnierczej.

3. Moje indywidualne przekonanie brzmiałoby tu następująco: jeśli świętość oznacza zwycięstwo nad szaleństwem, pisanie nie jest świętością. To przekonanie jednak nie licuje z zespołami całych „magicznych przedświadczeń” o pisarstwie, w których twierdzi się dokładnie przeciwnie: że pisanie to świętość, a świętość to pisanie. Że z każdej strony tzw. pisarskiej praktyki wychyla ten sam *bon mot* triumfującego humanizmu, wrodzonej dobroci antropocentryzmu i antropocentrycznej pełni świata. W tym rozkładzie wartości świętość **nie może nie być** zwycięstwem nad szaleństwem – jednakże proszę mnie dobrze zrozumieć, nie opowiadam się w ten sposób za dodatkowym usankcjonowaniem (krzywdzących i tak) etykiet dla pisarzy szaleństwa takich, jak „hermetyzm” czy „szamanizm”, a nawet „lingwizm” (czy dzisiaj zresztą nie będą to już słowa pustosznące?). Opowiadam się za konsekwentną walką z protekcyjnalizmem – historyczno- oraz krytycznoliterackim. Być może ująłem rzecz najdobitniej w trakcie jednego z radiowych nagrań wokół PIW-owskiej

reedycji *Pejzażu Gnoijnej Góry* Stanisława Swena Czachorowskiego, uznając (przez przykład autora *Kłęczników oriońskich*), że kultura polska nie wypracowała przez lata żadnej zadowalającej formy kontaktu ze zjawiskami „jurodstwa” w sferze twórczości, ba, z samą „jurodiwością” indywidualnego procesu twórczego. O tak zwanej wyższości wierszy „prostych jak podanie ręki” nad wierszami Czachorowskiego można posłuchać do dzisiaj w specjalnym wydaniu „Duchów poetów” (na kanale YouTube), w którym o autorze *Pejzażu Gnoijnej Góry* mówi pamiętający go jeszcze z czasów kobyłkowskich Ernest Bryll. Wypowiedzianej, mojej własnej opinii o tym, że nie potrafimy przyjąć w krwiobieg naszej narodowej kultury literackiej polskich „jurodiwych” radio ostatecznie nie wyemitowało.

4. To nie są właściwe pytania dla artysty – jego bowiem zadaniem nie jest za-pytywać o miejsce, ale takie miejsce powoływać do istnienia – własnymi wyłącznie siłami, pod jednym oczywiście warunkiem, że pojmuje się tutaj świętość w sposób niedogmatyczny, to jest jako transcendencję poza własne warunki tworzenia. Wierzę, że nie tylko w moim umyśle istnieje coś, co dałoby się, czerpiąc z błyskotliwej frazy Conrada, nazwać „smugą cienia świętości”, tym samym – otwarciej powiedzieć o pewnym tabuizowanym stanie metafizycznym: lęku przed „smugą cienia świętości”, przed wejściem / przejściem w „smugę cienia świętości”. Spośród poetów współczesnych średniego pokolenia polskim jurodiwym nie nazwałbym jednak ani Kacpra Bartczaka za ceniony przeze mnie tom *Pokarm suweren*, ani Roberta Rybickiego za wzbudzający we mnie ambiwalentne uczucia *Dar meneli*. Jurodstwem we właściwym tego słowa znaczeniu nazwałbym za to wybuch narracji subiektywno-egotycznych w *Kalendarzu Majów* Konrada Góry, dojrzałym „metystycyzmem” natomiast – to, co Kazimierz Brakoniecki w obszarze swojej twórczości dość precyzyjnie wyartykułował jako tak zwany ateizm mistyczny, czemu dał artystyczny wyraz między innymi w świetnym (choć niedocenionym do dziś) tomie *Amor fati*.

Urszula Honek

1. Świętością są dla mnie zwierzęta i ludzie, których kocham. Pomagają mi przetrwać. Świętość jest dla mnie intymną relacją, do której nikt nie ma dostępu.

2. Jeżeli potraktować świętość jako intymną relację, to owszem – szukam jej. Jednak niczego nie próbuję badać, opisywać ani nazywać, bo wydaje mi się to obliczone na skutek. To raczej próba podejścia bliżej do kogoś lub czegoś, niż byłabym zdolna w codziennym życiu.

3. Jest to raczej czynność, przy której można się ubrudzić. Piszę mało i wolno. Nie nazwałabym jednak pisania „świętością”, bo od razu narzuca skojarzenia ze sferą nieziemską. A pisanie jest bardzo cielesne, fizjologiczne. Może się autor przy nim zmęczyć, spocić, czuć się rozdrażniony, sfrustrowany, bezradny. Oczywiście w trakcie pisania można mieć poczucie głębokiego kontaktu na przykład ze wspomnieniami. Ale nie jest to żadna świętość, lecz otwarcie, które może nie nastąpiłoby bez pisania.

4. We współczesnej literaturze jest miejsce na wszystko. Nie wiem, czy coś należy czy nie – mało mnie zajmują takie rzeczy. Dla mnie świętość objawia się w brudzie, w nim wzrasta. To może Faulkner?

Filip Matwieczuk

1. Gdy myślę o świętości, słyszę dzwony. A potem myślę, że nie powinienem być tak europocentryczny i zaczynam słyszeć tybetańskie misy.

Świętość to dla mnie istnienie pewnych rygorów i przekraczanie ich granic. Jeśli przestrzega się rygorów, można stać się wzorowym, ale dopiero po dokonaniu transgresji prymus staje się świętym. Świętym nie trzeba być koniecznie poprzez przestrzeganie zasad religii, można być też świętym komunizmu, świętym kapitalizmu, świętym feudalizmu. Wystarczy być wzorowym i dokonać transgresji.

2. Poniekąd tak. Gdy piszę wiersz, przestrzegam zasad. Dlatego lubię pisać sonety, mam tutaj jasno określone zasady i niczego nie muszę wymyślać. Ale lubię też, kiedy – przy przestrzeganiu tych formalizmów – pojawia się jakaś dziwność w wierszu. Bywa, że ta dziwność jest tak pokrecona, że aż staje się czymś na pograniczu dziwactwa, a konsekwencji – transgresją. Ale jeszcze nie doszedłem do takiej wprawy.

3. W moim wyobrażeniu czynność nie może być święta. Święty może pisać, a nawet wielu takich pisało (nawiasem mówiąc, dla mnie jednym ze świętych pisarzy był Burroughs; myślę, że ta deklaracja albo bardzo poszerzy granice tego, co napisałem, albo zrobi z tego wszystkiego bełkot).

4. Myślę, że jak najbardziej jest. Dla świętości, którą wyznaję, była od początku romantyzmu. Dla mnie świętymi są obecnie Andrzej Szpindler i Krzysztof Bartnicki. Ci faceci są na swój sposób wzorowi, a jednocześnie przekraczają granice. To, co reprezentują, jest poza zasadami, które narzuca nam system, w jakim żyjemy. Teraz jak tak myślę, to w świętości widzę coś jeszcze, pewną bardzo charakterystyczną cechę. W przypadku Szpindlera jest to totalne rozkojarzenie, w przypadku Bartnickiego – absurdałna monomania w stosunku do *Finnegans Wake*. Więc jak najbardziej widziałbym świętość w naszej literaturze. Czy warto zostawać świętym? Wydaje mi się, że świętym się po prostu jest.

Na odchodne rzucę jeszcze, że święty to ktoś taki, kto zagina wokół siebie pewne zasady.

Szymon Szwarc

1. Świętość rozumiana teologicznie wydaje mi się czymś zupełnie obcym. Wyobrażam sobie raczej taki wymiar świętości, który jest oderwany od jakiegokolwiek religijności. Wydaje mi się to możliwe, kiedy chodzić może na przykład o miłość, zrozumienie, czynienie dobrych rzeczy oraz głębszą niż narzucana przez kultury, zeświecczoną, aczkolwiek nie pozbawioną ducha, moralność, do której dochodzi się drogami innymi, niż „opracowane” i „zalecane”. Świętość jako pewien ideał służyć może jednym grupom ludzi do uzyskiwania kontroli nad innymi grupami ludzi, co wydaje się bardzo niebezpieczne i smutne, ponieważ wciąż aktualne.

2. Jeśli szukałbym świętości w poezji, to tam, gdzie ona jeszcze może mnie jakoś zaskoczyć: w niedopowiedzeniu, w zmianie postrzegania, empatii, świeżym ujęciu, w czymś niewyrażonym bezpośrednio. Tekst poetycki może być świętością samą w sobie i to w o wiele większym stopniu niż tak zwany tekst święty. Jeśli tak podejmiemy do sprawy, wypłynie z tego całkiem dorzeczną nauka. Natomiast co do instytucjonalnie narzucanych i zarządzanych świętości, to poezja powinna się im przeciwstawiać, przeciwstawiać swoją jedyność, opis doświadczenia, pytania, przeciw temu, co jest nam narzucane, co jest niedorzeczną nauką, instrumentem władzy.

3. Pisanie nie jest świętością, nie powinno nią być, nie czujmy się namaszczeni, dlatego, że piszemy. Ale podejście do tekstu już napisanego to trochę inna sprawa i mogłaby być traktowana jako świętość, chociaż można by użyć innych określeń, może bardziej trafnych. Pisanie to kara, potępienie, wymaga szacunku, ale nie kul-

tu i wywyższenia. Pisanie wiersza może być drogą do osiągnięcia jakiejś wewnętrznej doskonałości, ale kogo ona obchodzi, jeśli nie obchodzi nas wiersz?

4. W moim mieszkaniu mam taką małą instalację i wydaje mi się ona jakąś realizacją świętości w obszarze symbolicznym, skrojoną do użytku codziennego – składają się na nią kadzielniczka z Buddą, któremu złamał się pindolek na głowie, porcelanowy łabędź, łoś z blachy oraz rafandynka. Brakuje Jezuska, ale nie jest tu do niczego potrzebny. Wszystkie te elementy stoją obok gramofonu, a w gramofonie leży płyta *Safe as milk* (genialny tytuł, Bozia dała).

Można jej (świętości) szukać wszędzie i w literaturze też. Dobrze byłoby odpowiedzieć na pytanie: czemu świętość miałaby służyć? Współcześnie szukałbym jej w małości, w zwykłym doświadczeniu, ale przede wszystkim – poza antropocentrycznym lub teocentrycznym układem odniesienia. Święty staje się las, który wyrzyna jakąś przekłętą Spółka. Święte stają się zwierzęta, które wymierają na naszych oczach. Święta jest temperatura w sierpniu, która pozwala jakoś funkcjonować, jak również święta jest woda w rzekach i w rurach, która jest. Obszary świętości lokują się poza obszarem naszego doraźnego interesu. A jak wiadomo współcześnie, on to jest sprawą najwyższą i w nim należy się doskonalić. Do czasu jednak, wkrótce nie będzie nas i nie będzie o czym rozmawiać, a razem z nami odejdą wszystkie nasze świętości.

Złota Świątynia,
Patan, Kotlina
Kathmandu, Nepal,
foto. Indi Orlando



Grzegorz Strumyk

Człowiek, który miał swoje powody, by odpocząć

Równo, ale nie wyglądzony. Gładki, nie błyszczący. Nie potykam się o wystające płyty chodnika, chociaż nie, zostało ich kilka. Plac równej kostki, jak się teraz nazywa te betonowe odchody po których spływa woda, omijając rachityczne drzewa w dziurach ziemi. W starej dzielnicy stykającej się z centrum. Plac. Między czarnymi oknami czterech ulic żółtych i jasnożółtych kamienic. Z dwiema halami targowymi i alejkami straganów na resztkach klinkierowej cegły kładzonej na początku ubiegłego wieku. Pod szklanym dachem pożółkłym i szarym. Schronienie dla ludzi i handlu. Resztki z życia i spędzone całe życie na placu i w przylegających kwartałach miasta. Warto było tu żyć, zaglądać, być z potrzeby zrobienia zakupów, przyciąć się, zastygnać, odwrócić się i napić, i rozpląnąć w oczach.

Zająć miejsce jak wymienny element ruchu. Być dobrze usadowionym na murku przy przystanku autobusowym i niby czekać na wyruszenie w drogę.

A tu nic. Ledwo słyszalne, ale wyraźne obok słowa sprzedawczyni. – Wiecie już, że umarł. – Kto? – Ten z psami. – Pogrzeb był z dwa tygodnie temu. – To dlatego ostatnio nie pojawiał się na placu.

I wtedy jeszcze raz zobaczyłem nasz plac. Stałem z boku na środku, bo tu wszędzie się stało na środku pośród wszystkich. I przez lata. Stałem w opustoszałym miejscu jak w noc z niedzieli na poniedziałek, gdy wycieńczenie daje o sobie znać ciszą przed świtem, jakby padał deszcz.

Nie wiem, co mnie tu zaciąga siłą. Bezimiennność. Niepoznanie. Bliskość bezdotykowa. Jeden organizm. Łaknienie. Bezceremonialność. Nie wiem. Życie jest w tym, co niezapowiedziane i tu to odnajduję. Jak w bracie. Brat się przypomniał. Moja matka. Mój ojciec. Zostałem sam na placu i nie chcę żadnego powrotu zmarłych, nawet w myślach, chcę tylko, żeby wszyscy żyli. Mieli czas i wciąż swoją szansę. Nawet nie słowa musiały nas łączyć, które niewypowiedziane przychodziły, tylko to, tylko zawsze jedno, że mogliśmy się zobaczyć wszyscy.

Wczesna noc została zerwana telefonem. Nieznany kobiecy głos wystarczył, by rozpoznać, o czym będzie mowa, jednak nie o tym, co usłyszałem. Nie wiem dlaczego, skoro musiałem być przygotowany, czekałem, nie czekałem, byłem pewny tego, ale nie teraz, jakby to, co nieuchronne, jednoznaczne, niezaprzeczalne i tylko do przyjęcia, pogodzenia się tylko, nie było żadną wiedzą, nie nadawało się już do niczego. W jednym przeblysku wiedza znikła, zapadła się, gdy głos przekazał czystą informację. – Pana brat nie żyje. – Po ciszy zapytałem. – Tak?

– Nie, to niemożliwe – powiedziałem tak zdecydowanie, że to odmieniło wszystko. Zaliczyłem wiele zniknięć, ale z bratem to było coś po raz pierwszy, na taką skalę, siłę i pewność. Im większą czułem bezradność, tym silniejszy protest. Nie musiałem się już z niczym liczyć. Powtarzałem. – Nie. Nie. Nie.

Uciekłem z domu do lasu.

Plac wydawał się pusty, jak pusta w jednej chwili głowa. Wszystko zostało zapomniane, bez znaczenia, i niewiele do zapamiętania wspólnego. Rozdarła się po-

włoka z ludźmi i miasto było puste, nie było rodzin razem z moją. Nikogo nie było poza widzeniem, że nikogo tu nie ma. Chodziło spojrzenie jak pijane. Z każdym krokiem stawiałem na małej polance w lesie. Miękka powierzchnia pod butami ugięła się jak trzęsawisko. W ciemności, zaraz po ucieczce, po telefonie ze szpitala, było dosyć miejsca, przestrzeni wilgotnej i pachnącej ziemią, by pochłaniać samo powietrze i powiew zapachu roślin. Tak nagle stało się oczywiste, że to miejsce brata. Zaczerpnąłem jeszcze głębiej powietrza. W oddechu odczułem wspólnotę z bratem.

– Nie, to niemożliwe.

Nie widziałem drzew, przenikał tylko ich zapach, szum, i wokół miękkość poszycia. Skąd mogłem wiedzieć, że tak się skończy krótka przygoda, że las znika w jednej chwili, ale się go czuje z oddechem, i nie spotkam brata w lesie. Mój brat znalazł się poza zasięgiem spotkania, a teraz dopiero mogłem mu powiedzieć, bo wcześniej o tym nie myślałem, że odkąd pamiętam, najlepiej czułem się w otwartej przestrzeni, w górach, miał serce do zwierząt, czytał tylko przygodowe książki, i widziałem jego dobre odruchy bez zastanowienia. Nic go nie zatrzymywało.

W zdarzeniach codzienności jest coś tak nienaruszalnego, że mówiąc o nich każdego nowego dnia co innego, będąc nimi udręczony albo wybawiony, nie odbiorę im w żaden sposób szansy na przemianę, chyba że zabiję w nich świętość, bo życie i świętość to teraz dla mnie jedno, to pozostawiona zawsze szansa na przemianę.

– Gdybyś żył bracie, nie wiem, co musiałoby się stać, żebym ci powiedział, jak bardzo byłeś mi obcy, zanim odczułem, jak dużo nas łączy. Nie wiedziałem. A teraz...

Krążyłem przez noc po okolicy, raz po placu, raz po lesie, zakopując się w liściach na sen, który napadał i myślałem, że to wciąż ta sama noc, ten sam dzień, trzeba było przecież pojechać do szpitala po rzeczy i papiery, rozpoznać ciało i podpisać przed zabraniem. Nie znalazłem lepszej, innej drogi zaprzeczenia niż chodzić, iść, być w ruchu.

Las pachniał soczystością i był ciemnogrnatowy, starłem się z nim jak ze ścianą, był gęsty, jednolity, przebijałem się jednak z łatwością. Brat by się dobrze czuł w nocnej ucieczce, każdej innej zabawie w lesie nad Białym, czy na łąkach nad Wartą, kiedy wiosną przylatywały czajki, a tych miejsc było więcej i więcej, i nie mogłem zobaczyć ich końca. Wszystko bym sobie odpuścił w życiu, tylko o jedno powalczył, żeby nie było definitywnego końca. Teraz o to tylko chodziło, żeby nie było żadnego końca, tego najgroźniejszego wynalazku.

Brat zabiera mnie do lasu, niesie w ręku ptaka, to sójka, którą leczył w domu, znalazł ją przed dwoma tygodniami, nie mogła fruwać, teraz ją wypuści, uczy ją latać, unosi i lekko podrzuca w górę. Sójka rozprostowuje skrzydła, przelatuje mały odcinek i ląduje na piasku między brzoźami, brat do niej podchodzi, sójka nie ucieka, zna go, karmił ją, urosła, porusza już skrzydłem. Mam stanąć naprzeciw brata, i lekko podrzucamy w powietrzu sójkę do siebie. Za którymś razem ptak odzyskuje siły w obu skrzydłach i odlatuje na gałąź wysoko. Wracamy do domu, i nie chcę już iść do szkoły na jedenastą. Brat nie chce, żebym został, zaraz ma przyjść do niego Ilona.

Wchodzę do łazienki, brat siedzi na sedesie i czyta gazetę z niebieskim tytułem Świat Młodych. Staję przy nim, brat mnie odgania, nie chcę odejść. Nie przeszkadza mi zapach, upieram się, chcę go zobaczyć nago, każda nagość mnie ciekawi. Brat

wstaje i za kolejnym ruchem poplamionym papierem pociera mi twarz, zapach dusi, sprawdzam policzek ręką, lepi się palec, przerażony wybiegam z łazienki.

Nie jestem dla brata swój. On też nie jest dla mnie. Prawie wcale nie ma go w domu. Rodzice mają z nim kłopoty, nie uczy się tak jak trzeba, wybiera kolegów i las, jeżeli jest w domu, to przychodzi do niego Ilona. W domu zmieniają się zwierzęta, brat przyprowadza psy, przynosi zranione ptaki, raz wiewiórkę. Z matką szukamy nowych miejsc dla zwierząt.

Szybko tracę go z oczu, gnieździ się w domu teściowej, raz ucieka do matki, ale wraca. Tak samo szybko załatwia mi transport mebla jak dawniej po jakimś uderzeniu mnie, staje do pojedynku na pięści z moim wrogiem i zadaje mu skuteczne ciosy. Jestem bratem tygrysa, to przezwisko nadaje mu osiedle, zaraz po tym, gdy w zoo udaje mu się włożyć rękę do klatki z młodym tygrysem i kociak łapą kaleczy mu dłoń na kilka szwów. Mówią do mnie „mały tygrys”. Jeśli kiedyś czułem się pewniej wśród nieznanych, to właśnie wtedy, gdy słyszałem, że jestem bratem tygrysa, mały tygrys.

Będzie coraz gorzej z nami. Nie mam mu nic do powiedzenia, nie próbuję nawet. Matka kiedyś mi mówi, że brat gdzieś chwalił się mną, Nie rozumiem tego. Wszystko mi jedno. Mówię, z pewnością siebie, że jesteśmy z różnych światów. Przez bardzo długi czas. Zauważam któregoś razu, że wyłysiał i rośnie mu brzuch, i namawiam go, by coś z tym zrobił, bo to w ogóle nie pasuje do niego, musi być inny.

Trzeba było w końcu pojechać do szpitala, już mnie szukano. Czas namierzania człowieka pod ziemią jeszcze nie nadszedł. Na przemian byłem na placu i w lesie. Wszystko dlatego, że brat został cieniem lasu, w którym chodziłem, nie odczuwając żadnego zagubienia wśród nieznanych ludzi czy gęstych zarośli poprzecinanych leśnymi drogami. Nie mogłem wyjść, żeby pozałatwiać urzędowe formalności, zapomniałem tak łatwo o obowiązkach, jak przy ostatnich odwiedzinach zapomniałem powiedzieć, że jestem jego bratem i mnie nie wpuszczono na OIOM. Pomiąłem cały szereg komunikatów wysyłanych do ludzi, by powiedzieć. – Zaraz, ale ja jestem uratowany dla uczuć, mamy mało czasu, kiedy potrzeba go nieskończenie, żeby zrozumieć jeszcze wiele razy, kim się jest, kim jest brat, kto jest bratem.

– Niemożliwe. – Walczyłem o niego. Jest gdzieś w lesie, tam gdzie powinien żyć, było miejsce dla niego.

Na placu las ludzi. On by teraz tu był, gdyby mu starczyło sił na ucieczkę ze szpitala po raz ostatni, ale wierzył lekarce w jeszcze dziesięć lat życia, a ostatecznie znikł w dwa dni i jednak jest gdzieś w lesie.

Tej samej nocy w miejscu nie do odróżnienia od lasu, w gąszczu oddzielającym od ulicy w zagłębieniu terenu o zapachu stawu i dotyku mokrych liści otarłem się o śliską skórzaną kurtkę i odruchowo odskoczyłem. – Wiedziałem! – krzyknąłem.

– Zagłębiłem – dobiegło z bliska i od razu wszystko wróciło do codzienności, bo usłyszałem brata, tylko on mógł śmierć tak nazwać. Więcej już się nie odezwał.

Leżałem zaraz obok z nieskończonego pragnienia, w niezgodzie na odebranie szansy. Brat sam by nic nie powiedział, on żył i nie mówił o życiu.

– Mogłeś być w innym lepszym miejscu. Wtedy nikt nie zauważył, świat był jeszcze przepelniony zwierzętami i drzewami, był bardziej dziki i inaczej stykał się z człowiekiem, wchodził do domu z bezdomnymi psami, wróblami i jaszczurką. Znosiłeś chore i blakające się zwierzęta albo złapane, by tylko im się poprzygłądać

i wypuścić wolno. Widziałem jak podnosisz z ziemi przestraszonego jerzyka, podrzucasz w niebo i przemieniony odlatuje. Powiedziałeś, że młody jerzyk, który wylądował na ziemi nie wzbije się z powrotem w powietrze. Ale nie nadawałem się do innych twoich tajemnic. Wybierałeś bandę chłopaków i dziewczyny. Mielście system ukrytych ziemianek w lesie, wyścielanych ciepło do spotykania się razem i palenia papierosów. Prawie wcale nie było cię w domu. Ojcu zostawałem tylko ja. Trzymałem się matki. Wszędzie nam znikaałeś. W Makowie całymi tygodniami pomagałeś maszyniście stacyjnego parowozu, przestawiałeś zwrotnice, jeździłeś z nim do Chabówki. Widzieliśmy się tylko na obiedzie. Ojciec ze mną chodził, milczał o tym, że nie jesteś z nami. W Czerniawie na tygodnie znikaałeś z dziewczyną za pianinem. Matka ze mną pomyliła górskie szlaki i długo nie umieliśmy wrócić z ciemnego lasu. Jednej zimy zdążyłeś rozciąć głowę o bramę, złamać rękę w tramwaju, spaść z drzewa, odnawiając wszystkie rany. Ja leżałem z anginą i pisałem słowa piosenek. Jeździłem z matką do twojej szkoły i słuchałem, jak usprawiedliwiasz twoje zniknięcia. Niebo i ziemia byliśmy. Maminsynek i kłamczuch. Jak najszybciej się ożeniłeś i wyprowadziłeś do żony. Ale to nie był ani początek, ani koniec. Zacząłeś znikać w sobie i byłeś wyrzucany z nowego domu. Zatrzymywałeś się na dzień u matki. Mówiła, że nie uczysz się na błędach, ale to chyba tak nie było. Wszędzie łatwo nawiązywałeś przyjaźnie, tak samo z ludźmi, jak ze zwierzętami. Przysyłałeś zdjęcia i ożywałeś na nich w lesie. Gdybym był teraz twoim ojcem albo matką, a ty tamtym chłopcem, zauważyłbym, że trzeba dla ciebie innego życia. Nie było miejsca ani czasu, aby się zdarzyło.

Przedzierałem się przez gąszcz rosnący do pierwszych piętér gałęzi na drzewach. W rozsuniętej zrośniętej zasłonie wyjrzałem na polanę. Brat siedł z grupą dzieci. Był górskim przewodnikiem, zaczęli dopiero wędrówkę Doliną Białego. Jechał konno na siwku starą drogą w Białym Dunajcu. Szedł z owcami. Mijał wsie i uwalniał psy z łańcuchów. Wszędzie gromadziły się wokół niego dzieci. Pokazywał im krajobraz ruchem ręki. Nie mówił. Widziałem z daleka, zawsze był odwrócony plecami, poznawałem po sylwetce. Smukłe nogi i kręcone włosy. Szedł w śniegu ze swoimi drewnianymi nartami, które musiał zabrać z piwnicy, bo wczoraj tam stały. Było białe i nakładające się fragmenty i sklezione zdarzenia nie miały początku i końca. Przykucnąłem wśród drzew jeszcze mniejszy.

Szarzało w mieście, podniosłem się spod ściany na placu. Miałem taką samą szansę jak brat iść stąd, ruszyć z miejsca, zmienić w życiu, być na swoim miejscu, odczuwać, że jest dobre bez wyszukanych myśli. Nie może się nic skończyć. Uwierzę tylko w to, czego jeszcze nie wiem.

Grzegorz Strumyk (ur. w 1958 r. w Łodzi) – poeta, prozaik, artysta malarz i fotografik. Mieszka w Łodzi. Wyróżniony w konkursie Fundacji Kultury Promocja Literatury Polskiej (1999). Dwukrotnie nominowany do Paszportu Polityki. Był także stypendystą Ministerstwa Kultury (2001). Jego powieść *Łzy* została adaptowana i wyreżyserowana przez Filipa Żylbera dla Teatru Telewizji. Wydał tomy poetyckie: *Bezspojrzenie* (1994), *Le Rutki* (2009), *Re _ Le Rutki* (2010), zbiory prozy: *Zagłada fasoli* (1992), *Podobrazie* (1997), *Patrzyć i patrzeć* (2002), a także powieści: *Kino-Lino* (1995), *Łzy* (2000), *Pigment* (2002), *Nierozpoznani* (2008) i *Kra* (2016).